

MIKOŁAJ GOGOL

MARTWE DUSZE

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

ROZDZIAŁ I

Do bramy hotelu w gubernialnym mieście N. wjechała dość ładna, nieduża bryczka na resorach, w rodzaju tych, którymi jeżdżą kawalerowie: dymisjonowani podpułkownicy, sztabskapitanowie, ziemianie posiadający około setki dusz chłopskich, słowem wszyscy ci, których nazywają średnio zamożnymi. W bryczce siedział pan niezbyt przystojny, ale i niebrzydki, ani nazbyt tłusty, ani nazbyt chudy; nie można powiedzieć, żeby stary, jednak niezbyt młody. Przyjazd jego nie zrobił w mieście żadnego hałasu i nie towarzyszyło mu nic szczególnego; tylko dwaj rosyjscy chłopci, stojący u drzwi karczmy naprzeciwko hotelu, poczynili jakieś spostrzeżenia, odnoszące się zresztą bardziej do pojazdu niż do tego, kto w nim siedział. – Patrzaj no – powiedział jeden do drugiego – to ci koło! Jak myślisz, dojechałoby to koło, jakby było trzeba, do Moskwy, czyby nie dojechało? – Dojechałoby – odpowiedział drugi. – A do Kazania, to myślę, że nie dojechałoby? – Do Kazania nie dojechałoby – odpowiedział drugi. Na tym się rozmowa skończyła. I jeszcze, kiedy bryczka podjechała do hotelu, nawinął się młodzieniec w białych dymkowych pantalonach, bardzo wąskich i krótkich, we fraku z pretensjami do mody, spod którego widać było gors spięty tulską spinką z pistoletem z brązu. Młodzieniec odwrócił się, popatrzył na pojazd, przytrzymał ręką czapkę, która mu omal nie zleciała na wietrze, i poszedł w swoją stronę.

Gdy pojazd wjechał w podwórze, pan został przyjęty przez służącego z hotelu albo, jak ich nazywają, numerowego, człowieka żywego i ruchliwego do tego stopnia, że nawet nie można było dostrzec, jaką miał twarz. Wybiegł zwinnie z serwetką w rękę, długi i w długim kortowym surducie, z kołnierzem omal że nie na głowie, potrząsnął włosami i zwinnie poprowadził pana na górę przez całą drewnianą galerię do zesłanego mu przez Boga pokoju. Pokój był wiadomego rodzaju, bo i hotel też był wiadomego rodzaju, to jest właśnie taki, jakie zwykle bywają w miastach gubernialnych, gdzie za dwa ruble na dobę przejezdni otrzymują dogodny pokój z karaluchami jak suszone śliwki, wyglądającymi ze wszystkich kątów, i z drzwiami do sąsiedniego pomieszczenia zawsze zastawionymi komodą, gdzie zagospodarowuje się sąsiad, człowiek małomówny i spokojny, ale nadzwyczaj ciekawy, interesujący się wszystkimi drobiazgami dotyczącymi przyjeźdnego. Front hotelu odpowiadał jego wnętrzu: był bardzo długi, jednopiętrowy; parter nie był otynkowany i świecił ciemnoczerwonymi cegiełkami, jeszcze bardziej pociemniałymi skutkiem pogody i z natury brudnymi; pierwsze piętro było pomalowane odwieczną żółtą farbą; na dole były sklepiły z chomątami, powrozami i obwarzankami. W narożnym sklepiku, a właściwie w oknie, tkwił handlarz sbitniem¹, z samowarem z czerwonej miedzi i o twarzy tak samo czerwonej jak samowar, tak że z daleka można było pomyśleć, że na oknie stoją dwa samowary, gdyby jeden z samowarów nie miał czarnej jak smoła brody.

Podczas gdy przyjezdny pan oglądał swój pokój, wniesiono jego bagaż: przede wszystkim walizę z białej skóry, trochę zniszczoną, co wskazywało, że nie po raz pierwszy była w drodze. Walizkę wniósł stangret Selifan, niziutki mężczyzna w kożusku, i lokaj Pietrek, chłopisko lat około trzydziestu, w luźnym znoszonym surducie, widocznie po panu, z wyglądu nieco surowy, z bardzo grubymi wargami i nosem. Za walizą wniesiono niewielki mahoniowy sepet wykładany brzezina karelską, prawidła do butów i pieczoną kurę owiniętą w niebieski papier. Gdy wszystko to przyniesiono, stangret Selifan poszedł do stajni zająć się końmi, a lokaj Pietrek zaczął się urządzać

¹ Sbitień – napój z wrządki zaprawionego miodem i korzeniami

w małym przedpokoiku, bardzo ciemnej norce, dokąd zdążył już przynieść swój szynel, a wraz z nim jakiś własny zapach, który udzielił się i przyniesionemu zaraz potem workowi z różnymi lokajskimi przyborami. W tej norce przysunął do ściany wąziutkie łóżko na trzech nogach, nakrywając je czymś podobnym do małego materaca, zbitym i płaskim jak blin i, być może, tak samo zatłuszczonym jak blin, który udało mu się wydębic od właściciela hotelu.

Podczas gdy służący krzatali się zapobiegliwie, pan udał się do ogólnej sali. Jakie bywają te ogólne sale – każdy przejezdny wie bardzo dobrze. Takie same ściany, wymalowane olejną farbą, pociemniałe u góry od fajczanego dymu i wyświecone u dołu plecami różnych przejezdnych, a zwłaszcza miejscowymi kupieckimi, kupcy bowiem w dni targowe przychodzili tu w sześciu albo w siedmiu wypijając wiadomą ilość herbaty; taki sam zakopcony żyrandol z mnóstwem wiszących szkiełek, które dygotały i dzwoniły za każdym razem, gdy numerowy przebiegał po wytartych chodnikach, żwawo wymachując tacą, na której było takie mnóstwo szklanek do herbaty, jak ptaków na brzegach morza; takie same obrazy na całej ścianie, malowane olejnymi farbami; słowem, wszystko to samo co i wszędzie; ta tylko różnica, że na jednym obrazie była namalowana nimfa z takimi ogromnymi piersiami, jakich czytelnik zapewne nigdy nie oglądał. Podobna igraszka natury zdarza się zresztą na różnych obrazach historycznych, nie wiadomo kiedy, skąd i przez kogo przywiezionych do nas, do Rosji, niekiedy nawet przez naszych wielkich panów, miłośników sztuki, którzy zakupili je we Włoszech za radą wiozących ich pocztylionów. Pan zdjął czapkę i odwiązał z szyi wełniany, o tęczyowych kolorach szalik, jaki ludziom żonatym własnoręcznie robi żona, dając przy tym dobre rady, jak go zawiązywać, a kawalerom – nie mogę na pewno powiedzieć, kto im robi, Bóg ich raczy wiedzieć, ja nigdy nie nosiłem takich szalików. Odwiązawszy szalik, pan kazał sobie podać obiad. Podczas gdy podawano mu różne zwykłe w restauracjach potrawy, jako to: kapuśniak z kruchym pierożkiem, umyślnie w ciągu kilku tygodni przechowywanym dla przejezdnych, mózdek z groszkiem, kiełbaski z kapustą, pieczoną pularde, kiszone ogórki i odwieczny kruchy, słodki pierożek zawsze gotów do usług; podczas gdy mu to wszystko podawano i na gorąco, i na zimno, kazał służącemu, czyli numerowemu, opowiadać sobie różne głupstwa o tym, kto dawniej prowadził tę restaurację, a kto teraz, i czy dużo daje dochodu, i czy gospodarz wielki łajdak, na co numerowy zazwyczaj odpowiadał: „O, wielki złodziej, proszę pana!” Jak w oświeconej Europie, tak samo i w oświeconej Rosji istnieje teraz wielu szanownych ludzi, którzy nie mogą zjeść w restauracji, żeby nie pogadać ze służącym, a niekiedy nawet zabawnie sobie z niego pożartować. Zresztą, przyjezdny nie zadawał tylko próżnych pytań; z nadzwyczajną ścisłością rozpytywał się, kto jest w mieście gubernatorem, kto prezesem sądu, kto prokuratorem – słowem, nie opuścił żadnego Ważniejszego urzędnika, ale z jeszcze większą ścisłością, jeżeli nawet nie ze szczególnym zainteresowaniem, rozpytywał się o wszystkich zamożniejszych obywateli ziemskich: ile kto ma dusz chłopskich, jak daleko mieszka od miasta, nawet jaki ma charakter i jak często przyjeżdża, rozpytywał się uważnie o stan prowincji, czy nie było w ich guberni jakich chorób, epidemicznej gorączki, jakiejś zabójczej febry, ospy i tym podobnych, a wszystko to tak szczegółowo i z taką dokładnością, która wskazywała na coś więcej niż na zwykłą ciekawość. Pan miał w obejściu coś solidnego i wycierał nos niebywale głośno. Nie wiadomo, jak on to robił, ale nos jego grzmiał jak trąba. Ta na pozór niewinna właściwość przysporzyła mu jednak wiele szacunku ze strony służącego z restauracji, tak że ten za każdym razem, gdy słyszał ów dźwięk, potrzasał włosami, prostował się z szacunkiem i nachylając głowę z wysokości pytał: „Czy wielmożny pan sobie czego nie życzy?” Po obiedzie pan wypił filiżankę kawy i usiadł na kanapie, podłożywszy sobie pod plecy poduszkę, którą w rosyjskich restauracjach zamiast elastyczną wełną wypychają czymś bardzo podobnym do cegieł i kamieni brukowych. Wkrótce zaczął ziewać i kazał się odprowadzić do swego numeru, gdzie położywszy się zasnął na dwie godziny. Odpocząwszy, napisał na kawałku papieru – na prośbę służącego z restauracji – swą rangę, imię i nazwisko, w celu zameldowania tam gdzie należy, w policji. Numerowy, schodząc ze schodów, przesyłabizował z kartki, co następuje: radca kolegiálny Paweł Iwanowicz Cziczikow, obywatel ziemski, w sprawach prywatnych. Gdy numerowy wciąż jeszcze sylabizując

odcyfrowywał kartkę, sam Paweł Iwanowicz udał się, by obejrzeć miasto, z którego był, zdaje się, zadowolony, albowiem znalazł, iż miasto bynajmniej nie ustępuje innym miastom gubernialnym. Mocno biła w oczy żółta farba na kamienicach i skromnie ciemniała szara na drewnianych domach. Domy były parterowe i półtorapiętrowe, z odwiecznymi facjatkami, bardzo ładnymi według mniemania gubernialnych architektów. Gdzieniegdzie domy te wydawały się zagubione pośród szerokiej jak pole ulicy i nie kończących się drewnianych płotów; gdzieniegdzie zbijały się w kupę i tam widać było więcej ludzi i ożywienia. Trafiały się prawie zmyte deszczem szyldy z rogalami i z butami, tu i ówdzie z namalowanymi niebieskimi spodniami i z nazwiskiem jakiegoś krawca Arszawskiego; tu sklep z czapkami, z napisem: „Cudzoziemiec Wasyl Fiodorow”; ówdzie namalowany bilard z dwoma graczami we frakach, w jakie ubierają się u nas w teatrach goście wchodzący na scenę w ostatnim akcie. Gracze byli namalowani z wycelowanymi kijami, z trochę wykręconymi w tył rękami i krzywymi nogami, które dopiero co wykonały w powietrzu *entrechat*. Pod tym wszystkim było napisane: „A oto zakład”. Tu i ówdzie, wprost na ulicy, stały stoły z orzechami, mydłem i piernikami podobnymi do mydła; tam znów garkuchnia z namalowaną tłustą rybą i wetkniętym w nią widelcem. Najczęściej zaś można było zauważyć pociemniałe dwugłowe orły państwowe, które teraz już zostały zastąpione lakonicznym napisem: „Szynk”. Bruki wszędzie były kiepskie. Zajrzał i do ogrodu miejskiego, składającego się z cieniutkich drzewek, które się źle przyjęły, z podpórkami w kształcie trójkątów u dołu, bardzo ładnie pomalowanymi zieloną farbą olejną. Zresztą, chociaż te drzewka nie były wyższe od trzciny, pisano o nich w gazetach przy opisie iluminacji, że „miasto nasze zostało dzięki staraniom naczelnika miasta przyozdobione ogrodem, składającym się z cienistych, rozłożystych. drzew, dających ochłodę w skwarny dzień” i że przy tym „było bardzo miło patrzeć, jak serca obywateli drżały z nadmiaru wdzięczności i wylewały potoki łez na znak uznania dla pana naczelnika miasta”. Rozpytawszy szczegółowo strażnika, którego można by przejść bliżej, jeżeli będzie trzeba, do soboru, do miejsc publicznych, do gubernatora, poszedł spojrzeć na rzekę przepływającą przez środek miasta; po drodze zdarł przybity do słupa afisz, żeby po przyjsciu do domu dokładnie go przeczytać; popatrzył uważnie na idącą po drewnianym chodniku damę o niebrzydkiej powierzchowności, za którą szedł chłopiec w wojskowym mundurze, z zawiniątkiem w rękę, i jeszcze raz obrzuciwszy wszystko spojrzeniem, jakby po to, żeby dobrze zapamiętać położenie, udał się do domu, prosto do swego numeru, podtrzymywany z lekka na schodach przez służącego z restauracji. Po wypiciu herbaty usiadł przy stole, kazał sobie podać świecę, wyjął z kieszeni afisz, podniósł go do świecy i zaczął czytać mrużąc trochę prawe oko. Zresztą w afiszu nie było nic godnego uwagi: wystawiano dramat pana Kotzebue, w którym Rollę grał pan Poplewin, Korę – panna Ziablowa, inne osoby były jeszcze mniej ciekawe; jednakże przeczytał je wszystkie, doszedł nawet do ceny parteru i dowiedział się, że afisz był drukowany w drukarni zarządu gubernialnego; później odwrócił na drugą stronę, żeby zobaczyć, czy i tam czego nie ma, ale nic nie znalazłszy przetaił oczy, zwinął arkusz starannie i włożył go do swego sepetu, gdzie miał zwyczaj kłaść wszystko, co popadło. Dzień, zdaje się, został zakończony porcją zimnej cielęciny, butelką musującego kwasu i mocnym snem na cały regulator, jak się wyrażają w niektórych miejscowościach obszernego państwa rosyjskiego.

Cały następny dzień był poświęcony wizytom; przyjezdny poszedł składać wizyty wszystkim miejskim dygnitarzom. Złożył uszanowanie gubernatorowi, który, okazało się, był, podobnie jak Cziczikow, ani tłusty, ani chudy, miał na szyi Annę i mówiono nawet, że był przedstawiony do gwiazdy; zresztą był to wielki pocziwiec i nawet sam wyszywał czasem na tiulu. Potem udał się do wicegubernatora, potem był u prokuratora, u prezesa sądu, u policmajstra, u dzierżawcy wódczanego, u zarządzającego fabrykami rządowymi... szkoda, że trochę trudno zapamiętać wszystkich możliwych tego świata; ale wystarczy powiedzieć, że przyjezdny okazał wielką gorliwość pod względem wizyt. Przyszedł nawet złożyć uszanowanie inspektorowi zarządu szpitali i miejskiemu architektowi. I potem długo jeszcze siedział w bryczce, namyślając się, komu by jeszcze złożyć wizytę, ale nie znalazło się już w mieście więcej urzędników. W rozmowach z tymi potęgami umiał bardzo zręcznie pochlebiać każdemu. Gubernatorowi napomknął jakoś, że do jego

guberni wjeżdża się jak do raj, drogi wszędzie aksamitne, i że te władze, które naznaczają mądrych dygnitarzy, godne są wielkiej pochwały. Policmajstrowi powiedział coś bardzo pochlebnego o miejskich strażnikach, a w rozmowach z wicegubernatorem i prezesem sądu, którzy byli dopiero radcami stanu, powiedział nawet przez omyłkę dwa razy: „ekscelencjo”, co im się bardzo spodobało. Skutek był taki, że gubernator poprosił go do siebie tego samego dnia na prywatny wieczorek, inni urzędnicy także – ten na obiad, ów na partię bostona, tamten na herbatę.

Przyjezdny, jak się zdaje, unikał mówienia o sobie; a jeżeli mówił, to jakimiś ogólnikowymi zwrotami, z wyraźną skromnością, i rozmowa z nim w takich wypadkach przybierała nieco książkowy charakter, że jest nic nie znaczącym robakiem tego świata i nie godzien, żeby się nim zbyt zajmowano, że wiele doświadczył w swoim życiu, że na służbie cierpiał w imię prawdy, miał wielu nieprzyjaciół, grożących nawet jego życiu, i że teraz, pragnąc spokoju, szuka sobie wreszcie miejsca do osiedlenia się, i że po przybyciu do tego miasta uznał za swój obowiązek okazać szacunek pierwszym jego dygnitarzom. Oto wszystko, czego się dowiedziano w mieście o tej nowej osobistości, która w bardzo krótkim czasie nie omieszkała pokazać się na gubernatorskim wieczorku. Przygotowania do tego wieczorku zajęły przeszło dwie godziny i tu przyjezdny okazał taką dbałość o toaletę, jaką nie wszędzie się widuje. Po krótkim śnie poobiednim kazał sobie podać przybory do mycia i nadzwyczajnie długo nacierał mydłem oba policzki podparłszy je od wewnątrz językiem; potem, wzięwszy z ramienia numerowego ręcznik, wytarł nim ze wszystkich stron swą pełną twarz, zacząwszy od uszu i parsknawszy przedtem dwa razy prosto w twarz numerowego. Potem włożył przed lustrem gors, wyrwał dwa wylazące z nosa włoski i bezpośrednio potem nałożył frak koloru borówek „z iskrą”. Tak ubrany pojechał własnym ekwipażem przez niezmiernie szerokie ulice, oświetlone skąpym światłem gdzieś błyszczących okien. Zresztą dom gubernatora był oświetlony prawie jak na bal; powozy z latarniami, przed podjazdem dwóch żandarmów, okrzyki forysiów w oddali – słowem, wszystko jak należy. Cziczikow po wejściu do salonu był zmuszony na chwilę przymrużyć oczy, bo blask świec, lamp i damskich sukien był straszny. Wszystko było zalane światłem. Czarne fraki przemykały i krążyły pojedynczo lub grupami tu i tam, jak krążą muchy po białej lśniącej rafinadzie w czasie gorącego lipcowego lata, kiedy stara klucznica przy otwartym oknie rąbie ją i dzieli na błyszczące kawałki; wszystkie dzieci patrzą zebrawszy się wokoło, śledząc ciekawe ruchy jej szorstkich rąk podnoszących młotek, a powietrzne szwadrony much, unoszone lekkim powiewem, wlatują śmiało, jak prawowici gospodarze, i korzystając z krótkowzroczności staruszki i ze słońca, które oślepia jej oczy, obsiadają smaczne kąski: tam pojedynczo, ówdzie zwartymi grupami. Nasycone bogatym latem, które i tak na każdym kroku rozstawia smaczne potrawy, przyleciały wcale nie po to, żeby jeść, lecz żeby tylko się pokazać, przejść się tam i z powrotem po rozsypanym cukrze, potrzeb jedną o drugą tylne albo przednie łapki, podrapać się nimi pod skrzydełkami albo wyciągnawszy obie przednie łapki potrzeb sobie nimi nad głową, obrócić się i znów odlecieć, i znów przylecieć nowymi dokuczliwymi szwadronami.

Cziczikow nie zdążył się rozejrzeć, a już został wzięty pod rękę przez gubernatora, który natychmiast przedstawił go gubernatorowej. Przyjezdny gość i tu umiał się znaleźć; powiedział jakiś komplement, całkiem odpowiedni dla człowieka w średnim wieku, posiadającego rangę niezbyt wysoką, ale i niezbyt niską. Gdy pary taneczne przycisnęły wszystkich do ściany, założywszy ręce w tył, spoglądał na nie bardzo uważnie przez dwie minuty. Wiele dam było ubranych ładnie i modnie, inne ubrały się w to, co Bóg dał w mieście prowincjonalnym. Mężczyźni tutaj, jak i wszędzie, byli dwóch rodzajów: jedni chudzi, uwijający się wciąż koło dam; niektórzy z nich byli tacy, że trudno ich było odróżnić od petersburżan: mieli tak samo starannie, z rozmysłem i gustem zaczesane bokobrody albo też miłe, zupełnie gładko ogolone owale twarzy, tak samo niedbale przysiadali się do dam, tak samo mówili po francusku i rozmieszali damy tak samo jak w Petersburgu. Inny rodzaj mężczyzn stanowili tłuści albo też tacy jak Cziczikow, to jest nie żeby nazbyt tłuści, ale i nie chudzi. Ci, wprost przeciwnie, krzywili się i stronili od dam, i tylko rozglądali się po kątach, czy służący gubernatora nie rozstawia gdzie zielonego stolika do wista.

Twarze ich były pełne i okrągłe, niektórzy mieli brodawki, ten i ów był nawet dziobaty, włosów na głowie nie czesali ani w czub, ani w pukle, ani na sposób „niech mnie diabli wezmą”, jak mówią Francuzi; włosy mieli albo krótko podstrzyżone, albo przylizane, a rysy twarzy bardziej zaokrąglone i mocne. Byli to najszanowniejsi urzędnicy w mieście. Niestety! tłuści lepiej umieją na tym świecie dbać o swoje sprawy niż chudzi. Chudzi są raczej urzędnikami do specjalnych poruczeń albo tylko figurują na liście i wałęsają się tu i tam: ich egzystencja jest jakoś nazbyt lekka, eteryczna i zupełnie niepewna. Tłuści zaś nigdy nie zajmują nieokreślonych miejsc, zawsze tylko określone i jeżeli już gdzie zasiadają, to pewnie i mocno, tak że raczej miejsce zatrzeszczy i ugnie się pod nimi, niż oni spadną. Zewnętrznego poloru nie lubią; ich fraki nie są tak dobrze skrojone jak chudych, za to w szkatułkach błogosławieństwo boże. Chudy w ciągu trzech lat nie ma ani jednej duszy, której by nie zastawił w lombardzie; tłusty – tylko popatrzeć – już ma gdzieś na końcu miasta dom, kupiony na imię żony, potem na drugim końcu drugi dom, potem wioskę pod miastem, potem wieś jak się patrzy. Wreszcie tłusty, wysłużywszy się Bogu i cesarzowi, zasłużywszy na powszechne poważanie, porzuca służbę i zostaje obywatelem ziemskim, znacym panem rosyjskim, prowadzi dom otwarty i żyje sobie, i dobrze żyje. A po nim znowu chudzi spadkobiercy, rosyjskim obyczajem, przepuszczają galopem ojcowski dobytek. Nie można ukryć, że Cziczikow zajmował się prawie takiego rodzaju rozmyślaniami, kiedy przypatrywał się towarzystwu, i rezultatem było to, że przyłączył się w końcu do tłustych, wśród których spotykał prawie wszystkie znajome twarze – prokuratora z bardzo czarnymi, gęstymi brwiami i trochę mrugającym lewym okiem, jakby mówił: „Chodźmy, bracie, do drugiego pokoju, tam ci coś powiem”, człowieka zresztą poważnego i małomównego; poczmistrza, człowieka niziutkiego, ale dowcipnisią i filozofa; prezesa sądu, nader rozsądnego i uprzejmego człowieka – wszyscy powitali go jak starego znajomego, na co Cziczikow oddawał ukłony trochę na ukos, zresztą nie bez wdzięku. Zaraz zapoznał się z bardzo uprzejmym i grzecznym właścicielem ziemskim Maniłowem i trochę niezgrabnym z wyglądu Sobakiewiczem, który natychmiast nastąpił mu na nogę mówiąc: „Proszę wybaczyć”. Zaraz też podsunęto mu kartę do wista, którą przyjął z takim samym grzecznym ukłonem. Usiedli przy zielonym stoliku i nie wstawali już aż do kolacji. Wszystkie rozmowy zupełnie się urwały, jak się zawsze dzieje, gdy nareszcie przystępuje się do poważnego zajęcia. Chociaż poczmistrz był bardzo rozmowny, ale i ten, wzięwszy karty do rąk, natychmiast przybrał myślący wyraz twarzy, górną wargę nakrył dolną i zachował taką minę przez cały czas gry. Wychodząc figurą, mocno uderzał ręką o stół mówiąc, jeżeli była dama: „Idź, stara popadio!”, jeżeli zaś król: „Idź, tambowski chłopie!” A prezes podgadywał: „A ja go po wąsach, a ja ją po wąsach!” Czasami przy uderzeniu kartami o stół wyrwały się wyrażenia: „A! było nie było, jak nie ma w co, to w karo!” Albo po prostu okrzyki: „Kiery! kiereczki! pikiencja!” albo „Piki, piczki! pikiendras!”, a nawet po prostu: „Piczuk!” – nazwy, którymi w swym towarzystwie ochrzcili kolory. Po zakończeniu gry, jak to bywa, spierano się dość głośno. Nasz przyjezdny gość również się spierał, ale jakoś nadzwyczaj subtelnie, tak iż wszyscy widzieli, że się spierał, a równocześnie spierał się w bardzo miły sposób. Nigdy nie mówił: „Pan wyszedł” tylko: „Pan był łaskaw wyjść”. „Miałem zaszczyt zabić pańską dwójkę” – i tym podobnie. Żeby jeszcze bardziej przekonać swoich przeciwników, za każdym razem podsuwał im wszystkim swą srebrną emaliowaną tabakierkę, na której dnie zauważono dwa fiołki, włożone tam dla zapachu. Uwagę przyjezdnego szczególnie zwrócili na siebie właściciele ziemscy Maniłow i Sobakiewicz, o których było wyżej wspomniane. Zaraz się o nich poinformował odwoławszy nieco na stronę prezesa i poczmistrza. Kilka pytań, zadanych przez niego, świadczyło nie tylko o ciekawości gościa, ale i o rzeczowości; przede wszystkim bowiem wypytał się, ile każdy z nich posiada dusz chłopskich i w jakim stanie znajdują się ich majątki, a potem dopiero dowiedział się o imię i imię ojca. W krótkim czasie udało mu się zupełnie ich oczarować. Właściciel ziemski Maniłow, człowiek jeszcze bynajmniej niestary, mający oczy słodkie jak cukier i przymrużający je za każdym razem, gdy się śmiał, stracił głowę dla Cziczikowa. Bardzo długo ścisnął mu rękę i prosił usilnie o zaszczytowanie go przyjazdem na wieś, do której, według jego słów, było tylko piętnaście wiorst od miejskiej rogatki. Na to

Cziczikow z bardzo grzecznym pochyleniem głowy i serdecznym uściskiem ręki odpowiedział, że nie tylko z miłą chęcią gotów jest to zrobić, ale będzie to sobie poczytywał za swój święty obowiązek. Sobakiewicz również powiedział nieco lakonicznie: – Proszę i do mnie – szurnąwszy nogą obutą w trzewik tak olbrzymiej wielkości, że nie wiadomo, czy znalazłaby się dla niego odpowiednia noga, zwłaszcza dziś, kiedy w Rosji zaczynają znikać legendarni bohaterowie.

Następnego dnia Cziczikow udał się na obiad i na wieczór do policmajstra, u którego goście zasiedli do wista o trzeciej po obiedzie i grali do drugiej w nocy. Tam między innymi zapoznał się z właścicielem ziemskim Nozdriowem, człowiekiem lat około trzydziestu, bardzo swobodnym, który po kilku słowach zaczął mu mówić „ty”. Policmajstrowi i prokuratorowi Nozdriow również mówił „ty” i był z nimi na stopie przyjacielskiej; ale gdy zasiedli do wysokiej gry, policmajster i prokurator nadzwyczaj bacznie obserwowali jego lewy i uważali prawie na każdą kartę, którą wychodził. Następnego dnia Cziczikow spędził wieczór u prezesa sądu, który w nieco zatłuszczonym szlafroku przyjmował swych gości, w tej liczbie jakieś dwie damy. Potem był na wieczorze u wicegubernatora, na wystawnym obiedzie u dzierżawcy wódczanego i u prokuratora na skromnym, który zresztą mógł ujść za wystawny; na śniadaniu wydanym po nabożeństwie przez naczelnika miasta, które również warte było tyle co obiad. Słowem, ani godziny nie pozostawał w domu i do hotelu przyjeżdżał tylko po to, żeby spać. Przyjezdny w każdej sytuacji jakoś umiał się znaleźć i dowiódł, że jest doświadczonego światowcem. O czymkolwiek toczyła się rozmowa, zawsze umiał ją podtrzymać. Jeśli mówiono o hodowli koni – mówił o hodowli koni; jeśli mówiono o rasowych psach – i tu wygłaszał bardzo rzeczowe spostrzeżenia; w rozmowie o śledztwie, przeprowadzonym przez izbę skarbową, dowiódł, że i procedura sądowa nie jest mu obca; gdy była mowa o grze w bilard – i tu nie był ignorantem; jeśli rozmawiano o cnocie – i o cnocie mówił bardzo dobrze, nawet ze łzami w oczach, o przyrządzaniu grzanego wina – znał się na grzonym winie; o nadzorcach i urzędnikach celnych – i o nich mówił tak, jakby sam był i urzędnikiem, i nadzorcą. Ale szczególne, że wszystko to umiał mówić z jakimś umiarem, zawsze potrafił znaleźć się. Mówił nie za głośno i nie za cicho, ale akurat tak jak należy. Słowem, był przyzwoitym człowiekiem pod każdym względem. Wszyscy urzędnicy byli zadowoleni z przyjazdu nowej osobistości. Gubernator wyraził się o nim, że to człowiek dobrze myślący, prokurator, że to bardzo rzeczowy człowiek; pułkownik żandarmerii mówił, że to człowiek bardzo uczony; prezes sądu, że to człowiek doświadczony i szanowny; policmajster, że to człowiek szanowny i miły; żona policmajstra, że to człowiek bardzo miły i bardzo uprzejmy. Nawet sam Sobakiewicz, który rzadko się o kimś dobrze wyrażał, przyjechawszy dość późno z miasta do domu, leżąc już zupełnie rozebrany w łóżku obok swojej chuderlawej żony, powiedział jej: – Byłem, kochanie, na wieczorze u gubernatora, jadłem obiad u policmajstra i zapoznałem się z radcą kolegialnym Pawłem Iwanowiczem Cziczikowem. Bardzo miły człowiek! – Na co małżonka odpowiedziała: – Hm! – i trąciła go nogą.

Taka opinia, bardzo pochlebna dla gościa, powstała o nim w mieście i utrzymała się dopóty, dopóki pewna dziwna właściwość gościa i przedsięwzięcie albo, jak mówią na prowincji, kazus, o którym czytelnik niedługo się dowie, nie wprawiły w zdumienie prawie całego miasta.

ROZDZIAŁ II

Przyjezdny pan przebywał w mieście już więcej niż tydzień, rozjeżdżając po wieczorkach i obiadach, i w ten sposób spędzając, jak się to mówi, bardzo mile czas. W końcu postanowił przenieść swe wizyty poza miasto i odwiedzić właścicieli ziemskich Maniłowa i Sobakiewicza, którym dał słowo. Być może, iż pobudziła go do tego inna, istotniejsza przyczyna, sprawa poważniejsza, bliższa sercu... Ale o tym wszystkim czytelnik dowie się stopniowo w odpowiednim czasie, jeżeli tylko starczy mu cierpliwości na przeczytanie niniejszego opowiadania, bardzo długiego i mającego się potem rozwinąć szerzej, w miarę zbliżania się do końca, wieńczącego dzieło. Stangret Selifan otrzymał polecenie zaprzęgnięcia wczesnym rankiem koni do znanej nam bryczki. Pietrek miał siedzieć w domu, uważać na pokój i walizę. Nie zawadzi, jeśli czytelnik pozna się z tymi dwoma poddanymi naszego bohatera. Chociaż, rzecz prosta, są oni osobistościami mało wybitnymi, takimi, które nazywa się drugorzędnymi i trzeciorzędnymi, chociaż główne posunięcia i sprężyny akcji poematu nie na nich się opierają, zaledwie gdzieś ich dotykają i z lekka o nie zahaczają – lecz autor lubi we wszystkim być bardzo dokładny i pod tym względem, pomimo że sam jest Rosjaninem, chce być akuraty jak Niemiec. Zajmie to zresztą niewiele czasu i miejsca, bo niewiele trzeba dodać do tego, co czytelnik już wie, a mianowicie, że Pietrek chodził w trochę za obszernym brązowym surducie po panu i miał, zwyczajem ludzi swego stanu, gruby nos i usta. Usposobienia był raczej milczącego niż gadatliwego, posiadał nawet szlachetną skłonność do oświaty, to jest do czytania książek, o których treść się nie troszczył: było mu zupełnie wszystko jedno, czy to przygody zakochanego bohatera, czy po prostu elementarz albo modlitewnik – wszystko czytał z jednakową uwagą; gdyby mu podsunęto chemię – i tej by nie odrzucił. Podobało mu się nie to, o czym czytał, lecz raczej samo czytanie, ściślej sam proces czytania, że oto z liter ciągle wychodzi jakieś słowo, które czasami diabli wiedzą, co znaczy. To czytanie odbywało się najczęściej w pozycji leżącej, w przedpokoju, na łóżku i na materacu, który z tego powodu stał się zbity i cienki jak placek. Oprócz namiętności do czytania miał jeszcze dwa przyzwyczajenia, stanowiące dwie inne jego cechy charakterystyczne: spać nie rozbierając się, tak jak stał, w tym samym surducie, i nosić zawsze ze sobą jakiś szczególny, sobie tylko właściwy zapach, podobny do zapachu zamieszkałego pokoju. Wystarczyło, żeby tylko postawił gdzieś swoje łóżko, choćby nawet w nie zamieszkałym dotąd pokoju, i przyniósł tam swój szynel i rzeczy, a już zdawało się, że w tym pokoju od dziesięciu lat mieszkają ludzie. Cziczikow, będąc człowiekiem bardzo wrażliwym, a nawet w niektórych wypadkach przewrażliwionym, wciągnawszy zaraz po obudzeniu powietrze w nozdrza, marszczył się tylko i potrząsał głową mówiąc; „Ty, bracie, diabli cię wiedzą, pocisz się czy co. Poszedłbyś chociaż do łaźni”. Na co Pietrek nic nie odpowiadał i starał się natychmiast zająć jakąś robotą: albo podchodził ze szczotką do wiszącego pańskiego fraka, albo po prostu coś sprzątał. Co myślał wtedy, gdy milczał? Być może, iż mówił do siebie: „I ty także dobryś, że też ci się nie naprzykrzyło czterdzieści razy powtarzać jedno i to samo”. Bóg raczy wiedzieć, nie wiadomo, co myśli dworski poddany wtedy, gdy pan daje mu nauki. A więc oto co na pierwszy raz można powiedzieć o Pietrku. Stangret Selifan był zupełnie inny... Ale autor ma wielkie skrupuły, że zajmuje tak długo czytelników ludźmi niskiego pochodzenia, wiedząc dobrze, jak niechętnie zawierają oni znajomość z niższą klasą. Rosjanin taki już jest: ma wielką ochotę do zapoznania się z tym, kto jest choćby o jedną rangę wyższy od niego, i daleka znajomość z hrabią albo z księciem więcej dla mego znaczy od wszelkich zażytych stosunków przyjacielskich. Autor

obawia się nawet o swego bohatera, który jest tylko radcą kolegialnym. Rady nadworni, być może, zapoznają się z nim, ale ci, którzy się już dochrapali rang generalskich, ci, Bóg raczy wiedzieć, być może, rzucają nawet jedno z tych pogardliwych spojrzeń, które człowiek dumnie rzuca na wszystko, co mu się płacze u nóg, albo, być może, jeszcze gorzej, przejdą z zabójczą dla autora obojętnością. Lecz jakkolwiek przykre jest i to i tamto, trzeba jednak wrócić do bohatera. A więc wydawszy odpowiednie zarządzenia jeszcze z wieczora, obudził się rano bardzo wcześnie, umył się, wytarł od stóp do głów mokrą gąbką, co robił tylko w niedziele – a tego dnia była właśnie niedziela – ogolił się tak, że policzki stały się prawdziwym atlasem, jeżeli wziąć pod uwagę gładkość i połysk, nałożył frak koloru borówek, „z iskrą”, a potem futro niedźwiedzie, zszedł ze schodów, podtrzymywany pod rękę to z jednej, to z drugiej strony przez numerowego, i wsiadł do bryczki. Bryczka z turkotem wyjechała z bramy hotelu na ulicę. Przechodzący pop zdjął kapelusz, kilka chłopców w zabrudzonych koszulach wyciągnęło ręce, mówiąc: – Wielmożny panie, wspomóż sierotę! – Stangret, zauważywszy, że jeden z nich ma wielką ochotę uwiesić się z tyłu, smagnął go batem i bryczka zaczęła skakać po kamieniach. Z radością ujrzano z daleka pasiasty szlaban, świadczący, że brukowana ulica, tak samo jak i każda inna męka, musi się wkrótce skończyć. Cziczikow uderzył się jeszcze kilka razy dość mocno o budę, i wreszcie bryczka potoczyła się po miękkiej ziemi. Za ledwie miasto zniknęło w tyle, gdy zaczęła się, jak to u nas, niedorzeczność i dzicz po obu stronach drogi: górki, jedlina, niziutkie, rzadkie kępy młodych sosen, opalone pnie starych, dziki wrzos i tym podobne głupstwa. Trafiały się wyciągnięte pod sznur wsie, przypominające budową stare uskładane drwa, pokryte szarymi dachami, z rzeźbionymi w drzewie ozdobami, które podobne były do wiszących haftowanych ręczników. Kilku chłopów w swych baranich kozuchach ziewało, jak zazwyczaj siedząc na ławkach przed wrotami. Baby o tłustych twarzach i chustkach przepasanych na krzyż wyglądały przez górne szybki; przez dolne patrzył cielak albo świnia wysuwała swój tępy ryj. Słowem, widoki dobrze znane. Przejechawszy piętnastą wiorstę przypomniał sobie, że tutaj, według słów Maniłowki, powinna być jego wieś, ale minęli i szesnastą wiorstę, a wsi wciąż nie było widać i gdyby nie dwaj spotkani chłopcy, nie wiadomo, czyby im się udało trafić. Na zapytanie, czy daleko stąd do wsi Zamaniłowki, chłopcy zdjęli kapelusze i jeden z nich, który był mądrzejszy i nosił brodę w klin, odpowiedział:

– Może Maniłowka, a nie Zamaniłowka?

– No tak, Maniłowka.

– Maniłowka? Ano jak przejedziesz jeszcze jedną wiorstę, to wtenczas prosto na prawo.

– Na prawo? – odezwał się stangret.

– Na prawo – powiedział chłop. – To będziesz miał drogę do Maniłowki; a Zamaniłowki żadnej nie ma. Ona się tak nazywa, to znaczy tak mówią. Maniłowka, a Zamaniłowki tu całkiem nie ma. Tam prosto na górze zobaczysz dom murowany, piętrowy, pański dom, a w nim sam pan mieszka, to będzie Maniłowka, a Zamaniłowki żadnej tu nie ma i nie było.

Pojechali na poszukiwanie Maniłowki. Przejechawszy dwie wiorsty spotkali zakręt na polną drogę; ale już i dwie, i trzy, i cztery wiorsty, zdaje się zrobili, a murowanego domu wciąż jeszcze nie było widać. Tu Cziczikow przypomniał sobie, że jeżeli przyjaciel zaprasza do siebie na wieś odległą o piętnaście wiorst, to znaczy, że jest do niej bitych trzydzieści. Wieś Maniłowka niewielu mogła przymanić swym położeniem. Dwór stał samotnie na wzgórzu, otwartym na wszystkie wiatry, jakim tylko zechce się powiać; spadek góry, na której stał, był odziany strzyżoną darnią. Na niej rozrzucone były po angielsku dwa czy trzy klomby z krzewami bzu i żółtej akacji; pięć czy sześć brzoź tu i ówdzie wznosiło swoje rzadkie, drobnolistne wierzchołki. Pod dwiema spośród nich widać było altankę z płaską zieloną kopułką, drewnianymi niebieskimi kolumnkami i napisem: „Świątynia samotnego dumania”; niżej staw pokryty rzęsą, co zresztą nic jest rzadkością w angielskich ogrodach rosyjskich ziemian. U podnóża tej wyniosłości i po części na samym zboczku ciemniały wzdłuż i w poprzek szare drewniane chaty, które nasz bohater, nie wiadomo z jakiego powodu, natychmiast zaczął rachować i narachował ich więcej niż dwieście. Nigdzie pomiędzy nimi nie było rosnącego drzewka ani jakiegokolwiek zieloności; zewsząd wyglądały same

tylko bierwiona. Widok ożywiały dwie baby, które malowniczo podniosły spódnicę i poobtykawszy je ze wszystkich stron, brnęły po kolana w stawie, wlokąc za dwa drewniane kołki porwaną sieć, w której było widać dwa zaplątane raki i błyszcząca złapana płotka; baby, zdaje się, kłóciły się o coś i wymyślały sobie. W pobliżu, z boku, ciemniał jakimś mdłoniebieskawym kolorem sosnowy las. Nawet pogoda wypadła odpowiednia. Dzień nie był ani jasny, ani ciemny, ale jakiegoś jasnoszarego koloru – jaki bywa tylko na starych mundurach garnizonowych żołnierzy, tego na ogół spokojnego wojska, ale trochę nietrzeźwego w dni świąteczne. Do uzupełnienia obrazu nie brakowało nawet koguta, zwiastuna zmiennej pogody, który, mimo iż łeb miał zdziobany aż do mózgu dziobami innych kogutów z powodu wiadomych spraw zalotnictwa, piał bardzo głośno, a nawet trzepotał skrzydłami, wyskubanymi jak stara rogóżka. Podjeżdżając do dworu Cziczikow zauważył na ganku samego gospodarza, który stał w zielonym surducie, przyłożywszy rękę do czoła nad oczami, na kształt daszka, żeby lepiej się przyjrzeć podjeżdżającemu powozowi. W miarę jak bryczka zbliżała się do ganku, oczy jego stawały się coraz weselsze, a uśmiech coraz szerszy.

– Paweł Iwanowicz! – zawołał w końcu, gdy Cziczikow wysiadł z bryczki. – Jednak przypomniał pan sobie o nas!

Obaj przyjaciele bardzo mocno się ucałowali i Maniłow zaprowadził swego gościa do pokoju. Chociaż czas, w ciągu którego będą przechodzili przez sieni, przedpokój i stołowy, jest nieco przykrótki, spróbujemy, czy nam się nie uda jakoś go wykorzystać i powiedzieć coś nieośmieszającego o gospodarzu domu. Lecz tu autor musi się przyznać, że podobne przedsięwzięcie jest bardzo trudne. O wiele łatwiej rysować charaktery wielkich rozmiarów: tam po prostu rzuca się pełną garścią farby na płótno – czarne pałające oczy, nawisłe brwi, przecięte zmarszczką czoło, przerzucony przez ramię czarny albo purpurowy jak ogień płaszcz – i portret gotowy; ale ci wszyscy panowie, których jest wielu na świecie, z wyglądu są bardzo do siebie podobni, a jednak, jeśli się przyjrzeć, zobaczy się wiele nieuchwytnych cech – ci panowie są strasznie trudni do portretowania. Tu trzeba będzie mocno wycęzać uwagę, zanim się wydobędzie wszystkie delikatne, prawie niewidzialne rysy i w ogóle trzeba będzie bardzo pogłębić już wyćwiczone w nauce obserwacji spojrzenie.

Bóg jeden chyba mógł powiedzieć, jaki był charakter Maniłowa. Istnieje rodzaj ludzi, o których się mówi: taki sobie człowiek – ni to, ni owo, ni pies, ni wydra, jak powiada przysłowie. Być może, że do nich powinno się zaliczyć Maniłowa. Z wyglądu był to człowiek okazały; rysy jego twarzy nie były pozbawione wdzięku, ale w tym wdzięku, jak się zdawało, było troszeczkę za dużo cukru; w jego obejściu i zwrotach było coś przymilnego, zabiegającego o sympatię i znajomości. Uśmiechał się powabnie, był jasnowłosy, o niebieskich oczach. W pierwszej chwili rozmowy z nim nie można było nie powiedzieć: „Jaki to miły i dobry człowiek!” Ale w następnej chwili nic już się nie chce powiedzieć, a w trzeciej powie się: „Diabli wiedzą, co to takiego!” – i odejdzie się jak najdalej; a jeżeli się nie odejdzie, to poczuje się śmiertelną nudę. Nie można się od niego doczekać żadnego żywego albo choćby popędliwego słowa, jakie można usłyszeć prawie od każdego, jeśli się poruszy obchodzący go temat. Każdy człowiek ma jakąś słabość; dla jednego tą słabością będą psy gończe; drugiemu wydaje się, że jest wielkim amatorem muzyki i w zadziwiający sposób odczuwa w niej wszystkie głębokie miejsca; trzeci jest mistrzem w dobrym jedzeniu; czwarty umie świetnie zagrać rolę choćby o jeden werszek wyższą od tej, która mu jest przeznaczona; piąty, o życzeniach bardziej ograniczonych, śni i marzy o tym, żeby się przespacerować pod rękę z cesarskim adiutantem i żeby go widzieli jego przyjaciele, znajomi, a nawet nieznajomi; szósty jest obdarzony taką ręką, która czuje nadnaturalną potrzebę, by złamać róg jakiemuś karowemu asowi albo dwójce, podczas gdy ręka siódmego jakoś sama się garnie, żeby gdzieś zrobić porządek, dostać się blisko do osoby nadzorca stacji pocztowej albo do woźniców, słowem – każdy ma swego konika, lecz Maniłow nic takiego nie miał. W domu mówił bardzo mało, przeważnie dumał i rozmyślał, ale o czym rozmyślał, także chyba jednemu Bogu było wiadomo. Nie można powiedzieć, żeby się zajmował gospodarstwem, nawet nigdy nie wyjeżdżał na pola; gospodarstwo jakoś samo szło. Kiedy ekonom mówił: „Dobrze by, proszę pana, to i to zrobić” – Maniłow

odpowiadał: „Tak, to niegłupie” – paląc przy tym fajkę, do której przyzwyczał się, gdy jeszcze służył w armii, gdzie był uważany za jednego z najskromniejszych, najdelikatniejszych i najbardziej wykształconych oficerów. „Tak, tak, to niegłupie” – powtarzał. Gdy przychodził do niego chłop i poskrobawszy się w głowę mówił: „Niech wielmożny pan pozwoli odejść na robotę i zarobić na pogłównie” – odpowiadał mu: „Idź” – paląc fajkę i nawet mu do głowy nie przyszło, że chłop szedł pić. Czasami, spoglądając z ganku na dziedziniec i staw, mówił, jakby to było dobrze, gdyby tak nagle przeprowadzić do domu przejście podziemne albo wybudować na stawie most kamienny, na którym by były po obu stronach kramy, i żeby w nich siedzieli kupcy i sprzedawali różne drobne towary potrzebne chłopom. Przy tym oczy jego stawały się nadzwyczaj słodkie i twarz przybierała wyraz pełnego zadowolenia. Zresztą wszystkie te projekty kończyły się tylko na słowach. W jego gabinecie zawsze leżała jakaś książka z zakładką na czternastej stronie, którą stale czytał już od dwóch lat. W jego domu wiecznie czegoś brakowało: w salonie stały bardzo ładne meble, obite wykwinną materią jedwabną, która z pewnością musiała dość drogo kosztować, ale zabrakło jej na dwa krzesła i krzesła te stały obciążone rogózką; zresztą gospodarz przez kilka lat zawsze uprzedzał swych gości słowami: „Niech pan na tych krzesłach nie siada, bo są jeszcze nie wykończone”. W niektórych pokojach wcale nie było mebli, chociaż mówiło się w pierwszych dniach po ślubie: „Kochanie, trzeba będzie jutro się postarać, żeby w tym pokoju chociaż tymczasowo ustawić meble”. Wieczorem stawiano na stole wykwinny świecznik z ciemnego brązu, z trzema antycznymi gracjami, z wykwinną tarczą z masy perłowej, a obok niego stawiano jakiegoś zwyczajnego miedzianego inwalidę, przechylonego na bok i całego w łoju, chociaż tego nie dostrzegał ani gospodarz, ani gospodyni, ani służba. Jego żona... zresztą byli oni z siebie wzajemnie bardzo zadowoleni. Pomimo iż minęło więcej niż osiem lat ich małżeństwa, każde z nich wciąż jeszcze przynosiło drugiemu kawałek jabłuszka albo cukierek, albo orzeszek, mówiąc wzruszająco tklwym głosem, wyrażającym idealną miłość: „Otwórz, kochanie, buzię, włożę ci ten kąsek”. Nie potrzeba dodawać, że buzia otwierała się przy tym bardzo wdzięcznie. Na urodziny robiono niespodzianki – jakiś futerał z masy perłowej do wykałaczki. I bardzo często, siedząc na kanapie, nagle zupełnie nie wiadomo z jakiego powodu, jedno odkładało swą fajkę, a drugie robótkę, jeżeli ta była w danej chwili w rękach, i wyciskali taki omdlewający i długi pocałunek, że w czasie jego trwania można by z łatwością wypalić małe słomkowe cygaro. Słowem, byli tym, co się nazywa szczęśliwym małżeństwem. Naturalnie, można by zauważyć, że w domu oprócz przeciągłych pocałunków i niespodzianek jest wiele i innych zajęć i można by zadać dużo rozmaitych pytań. Dlaczego, na przykład, głupio i bez pojęcia gotuje się w kuchni? Dlaczego dość pusto w spiżarni? Dlaczego klucznica kradnie? Dlaczego lokaje są brudni i piją? Dlaczego cała służba bezwstydnie wałkoni się i swawoli przez resztę czasu? Ale wszystko to płaskie sprawy, a Maniłowa jest dobrze wychowana. A dobre wychowanie, jak wiadomo, otrzymuje się na pensjach. A na pensjach, jak wiadomo, następujące trzy główne przedmioty stanowią podstawę cnót ludzkich: język francuski, nieodzowny do szczęścia w życiu rodzinnym, fortepian, w celu dostarczenia mężowi przyjemnych chwil, i wreszcie właściwy dział gospodarczy: robótki. A więc szydełkowanie, robienie woreczków i innych niespodzianek. Zresztą bywają różne udoskonalenia i zmiany w metodach, szczególnie w dzisiejszych czasach: wszystko to w największym stopniu zależy od rozsądku i zdolności samych kierowniczek pensyj. Na niektórych pensjach bywa tak, że przede wszystkim fortepian, potem francuski i dopiero dział gospodarczy. A czasami zdarza się i tak, że przede wszystkim dział gospodarczy, tj. szydełkowanie niespodzianek, potem francuski i dopiero fortepian. Metody bywają różne. Nie zawadzi zaznaczyć jeszcze, że Maniłowa... ale przyznam się, że o damach bardzo się obawiam mówić, a przy tym czas mi powrócić do naszych bohaterów, którzy stali już od kilku minut przed drzwiami salonu, ustępując sobie wzajemnie pierwszeństwa przy wejściu.

– Niech pan będzie łaskaw nie robić sobie subiekcji, wejdę po panu – mówił Cziczikow.

– Nie, Pawle Iwanowiczu, nie, pan jest gościem – mówił Maniłow wskazując ręką na drzwi.

– Niech pan się nie krępuje, proszę bardzo, niech pan się nie krępuje, niech pan będzie łaskaw wejść – mówił Cziczikow.

– Nie, niech pan wybaczy, nie mogę pozwolić, żeby tak miły i wykształcony gość wszedł po mnie.

– Dlaczegoż wykształcony?... Proszę, niech pan będzie łaskaw wejść!

– Ale niechże pan raczy wejść pierwszy.

– Ależ dlaczego?

– A już tak! – powiedział z miłym uśmiechem Maniłow. W końcu obaj przyjaciele weszli w drzwi bokiem i trochę się przycisnęli wzajemnie.

– Pozwoli pan przedstawić sobie moją żonę – powiedział Maniłow. – Kochanie! Paweł Iwanowicz!

Cziczikow istotnie ujrzał damę, której zupełnie nie zauważył ceremonijując się w drzwiach z Maniłowem. Była niebrzydka, ubrana gustownie. Ładnie na niej leżał jedwabny szlafroczek w bladym kolorze; jej wąska, mała dłoń rzuciła coś pośpiesznie na stół i zmiała batystową chusteczkę z powyszywanyimi różkami. Podniosła się z kanapy, na której siedziała. Cziczikow nie bez przyjemności zbliżył się, by ucałować jej rączkę. Maniłowa powiedziała, nieco grasejując, że oboje bardzo się ucieszyli z jego przyjazdu i że nie było dnia, żeby jej mąż o nim nie wspominał.

– Tak – powiedział Maniłow – ona ciągle mnie pytała: „Czemuż twój przyjaciel nie przyjeżdża?” „Zaczekaj, kochanie, przyjedzie, przyjedzie.” I oto nareszcie zaszczycił nas pan swoją wizytą. Doprawdy, sprawił pan nam taką rozkosz, majowy dzień... imieniny serca...

Cziczikow, słysząc, że mowa już o imieninach serca, nawet się trochę zmieszał i odpowiedział skromnie, że nie posiada ani głośnego nazwiska, ani nawet wysokiej rangi.

– Pan wszystko posiada – przerwał mu Maniłow z tak samo miłym uśmiechem – pan wszystko posiada, a nawet jeszcze więcej.

– Jak się panu podobało nasze miasto? – wtrąciła słówko Maniłowa. – Czy mile pan spędził czas?

– Bardzo ładne miasto, śliczne miasto – odpowiedział Cziczikow – i czas spędziłem bardzo mile. Towarzystwo niezmiernie pociągające.

– A jak pan znalazł naszego gubernatora? – zapytała Maniłowa.

– To nadzwyczaj czcigodny i niezwykle miły człowiek, nieprawdaż? – dorzucił Maniłow.

– Zupełna prawda, to nadzwyczaj czcigodny człowiek. A jak wniknął w swe obowiązki, jak on je rozumie! Powinniśmy życzyć sobie więcej takich ludzi.

– Jak on potrafi tak, wie pan, obejść się z każdym, zachować delikatność w postępowaniu – dodał Maniłow z uśmiechem i z zadowolenia prawie zupełnie przymrużył oczy jak kot, którego z lekka podrapano palcem za uszami.

– Bardzo uprzejmy i miły człowiek – ciągnął dalej Cziczikow – a jaki zręczny! Nawet nie przypuszczałem, że tak doskonale wyszywa różne wzory. Pokazywał mi woreczek własnej roboty: mało która dama umiałaby tak zręcznie wyszyć.

– A wicegubernator, prawda, jaki to miły człowiek? – odezwał się Maniłow, znów trochę przymrużywszy oczy.

– Bardzo, bardzo szanowny człowiek – odpowiedział Cziczikow.

– No, a co pan sądzi o policmajstrze? Jaki to miły człowiek, nieprawdaż?

– Niezmiernie miły i jaki mądry, jaki czytany! Graliśmy u niego w wista z prokuratorem i prezesem sądu aż do białego ranka. Bardzo, bardzo szanowny człowiek!

– No, a jakiego jest pan zdania o żonie policmajstra? – dodała Maniłowa. – Prawda, że to bardzo miła kobieta?

– O, to jedna z najbardziej godnych szacunku kobiet, jakie znam – odparł Cziczikow.

Po czym nie opuszczono prezesa sądu, poczmistrza i w ten sposób wyliczono prawie wszystkich urzędników miejskich, którzy okazali się wszyscy bardzo szanownymi ludźmi.

– Państwo zawsze spędzają czas na wsi? – zadał wreszcie ze swej strony pytanie Cziczikow.

– Przeważnie na wsi – odpowiedział Maniłow. – Czasami zresztą przyjeżdżamy do miasta po to tylko, żeby się zobaczyć z wykształconymi ludźmi. Można tu, wie pan, zdziczeć, siedząc tak ciągle w odosobnieniu.

– Prawda, prawda – powiedział Cziczikow.

– Naturalnie – ciągnął Maniłow – inna rzecz, gdyby było dobre sąsiedztwo, gdyby na przykład był taki człowiek, z którym by, poniekąd, można pomówić o uprzejmości, o dobrych manierach, zajmować się jakąś taką nauką, żeby wstrząsnęło duszą, dało, że tak powiem, taki polot... – Tu chciał jeszcze coś wyrazić, ale zauważywszy, że się trochę zagalopował, uczynił tylko ręką gest w powietrzu i ciągnął dalej: – wtedy naturalnie wieś i odosobnienie dawałyby wiele przyjemności. Ale zupełnie nikogo nie ma... Ot, tylko od czasu do czasu poczyta się „Syna Ojczyzny”.

Cziczikow zgodził się z tym w zupełności, dodając, że nie może być nic przyjemniejszego niż życie w odosobnieniu, rozkoszowanie się widokiem natury i czytanie od czasu do czasu jakiejś książki...

– Ale wie pan co – dodał Maniłow – wszystko to, jeżeli nie ma przyjaciela, z którym by się można podzielić...

– O, to słuszne, to zupełnie słuszne! – przerwał Cziczikow. – Czymże są wtedy wszystkie skarby tego świata! Nie miej pieniędzy, lecz miej dobrych ludzi do obcowania, powiedział pewien mędrzec.

– I wie pan co, Pawle Iwanowiczu! – powiedział Maniłow, a twarz jego przybrała wyraz nie tylko słodki, lecz nawet mdły, podobny do tej mikstury, którą zręczny światowy doktor przesłodził niemiłosiernie, sądząc, że ucieszy nią pacjenta. – Wtedy czuje się poniekąd jakby rozkosz duchową... Ot, na przykład teraz, kiedy zawdzięczam przypadkowi szczęście, można powiedzieć, rzadkie, wyjątkowe, mówienia z panem i rozkoszowania się miłą rozmową pańską...

– Ależ, proszę pana, cóż to za miła rozmowa? Marny ze mnie człowiek i nic więcej – odpowiedział Cziczikow.

– O, Pawle Iwanowiczu! Niech mi pan pozwoli być szczerym: z radością oddałbym połowę mego majątku, żeby posiadać część tych zalet, które pan posiada!...

– Przeciwnie, ja ze swej strony uważałbym sobie za najwyższy...

Nie wiadomo, do czego by doprowadziła wzajemna wylewność uczuć obu przyjaciół, gdyby służący nie oznajmił, że podano do stołu.

– Proszę uprzejmie – powiedział Maniłow. – Niech pan wybaczy, jeżeli u nas nie będzie takiego obiadu jak w wielkich domach i w stolicach, u nas po prostu, rosyjskim obyczajem, kapuśniak, ale ze szczerego serca. Pan będzie łaskaw!

Tu jeszcze czas jakiś ceremonowali się, kto ma wejść pierwszy, i wreszcie Cziczikow wszedł bokiem do stołowego.

W stołowym zastali już dwóch, malców, synów Maniłowa, którzy byli w tym wieku, kiedy już sadza się dzieci przy stole, ale jeszcze na wysokich krzesłach. Przy nich stał nauczyciel, który skłonił się grzecznie i z uśmiechem. Pani domu usiadła obok wazy z zupą; gościa posadzono pomiędzy panią a panem domu; służący zawiązał dzieciom serwetki na szyjach.

– Jakie miłe dzieci! – powiedział Cziczikow spojrzawszy na nie. – A w jakim wieku?

– Starszy ma ósmy rok, młodszy, dopiero wczoraj skończył sześć – odpowiedziała Maniłowa.

– Temistoklus! – powiedział Maniłow zwracając się do starszego, który starał się oswobodzić swój podbródek, zawiązany przez lokaja serwetką. Cziczikow uniósł nieco brwi, słysząc takie w pewnej mierze greckie imię, któremu, nie wiadomo dlaczego, Maniłow dał zakończenie na us, ale postarał się natychmiast przybrać normalny wyraz twarzy.

– Temistoklus, powiedz mi, jakie jest najpiękniejsze miastowe Francji?

Tu nauczyciel zwrócił całą uwagę na Temistoklusa i zdawało się, jakby mu chciał wleźć w oczy, lecz w końcu zupełnie się uspokoił i kiwnął głową, gdy Temistoklus powiedział:

– Paryż.

– A u nas, jakie najpiękniejsze miasto? – zapytał znów Maniłow.

Nauczyciel znowu natężył uwagę.

– Petersburg – odpowiedział Temistoklus.

– A jeszcze jakie?

– Moskwa – odpowiedział Temistoklus.

– Mądry kochaneczek! – powiedział na to Cziczikow. – Patrzcie państwo – ciągnął zwracając się zaraz z wyrazem pewnego zdumienia do małżonków. – Muszę państwu powiedzieć, że ten chłopiec rokuje wielkie zdolności!

– O, pan go jeszcze nie zna – odpowiedział Maniłow. – On ma bardzo dużo sprytu. Ot, ten młodszy, Alcydio, ten nie jest tak bystry, ale ten zaraz jak tylko coś zauważy: chrabąszcza, bożą krówkę, zaraz mu się oczy zaświecą; pobiegnie za nią i zaraz zwróci uwagę. Przeznaczam go do służby dyplomatycznej. Temistoklus! – ciągnął dalej, zwracając się znów do starszego – chcesz być posłem?

– Chcę – odpowiedział Temistoklus żując chleb i kręcąc głową na prawo i na lewo.

Równocześnie stojący z tyłu lokaj utarł posłowi nos i bardzo dobrze zrobił, bo inaczej kapnęłaby do zupy bardzo obfita nieprzewidziana kropla. Rozmowa przy stole toczyła się o przyjemności spokojnego życia, przerywana uwagami pani domu o teatrze i aktorach. Nauczyciel bardzo uważnie patrzył na rozmawiających i gdy tylko zauważył, że ci byli gotowi się uśmiechnąć, natychmiast otwierał usta i śmiał się gorliwie. Prawdopodobnie był to człowiek wdzięczny i chciał w ten sposób odwdziżyć się swemu chlebodawcy za dobre traktowanie. Raz zresztą twarz jego przybrała wyraz surowy i groźnie zastukał widelcem w stół, utkwivszy oczy w siedzące naprzeciwko niego dzieci. To było na miejscu, bo Temistoklus ugryzł w ucho Alcydesa i Alcydes przymrużywszy oczy i otworzywszy usta gotów był jak najżałośniej rozplakać się, ale uprzytomniwszy sobie, że za to łatwo można nie dostać deseru, doprowadził usta do poprzedniego położenia i zaczął ze łzami ogryzać kość baranią, od której oba policzki lśniły mu tłuszczem.

Pani domu bardzo często zwracała się do Cziczikowa ze słowami:

– Pan nic nie je, pan bardzo mało wziął.

Na to Cziczikow odpowiadał za każdym razem:

– Uprzejmie dziękuję, jestem syty. Przyjemna rozmowa jest lepsza od każdej potrawy.

Już wstali od stołu. Maniłow był nadzwyczaj zadowolony i podtrzymując ręką plecy swego gościa, przygotowywał się w ten sposób zaprowadzić go do salonu, gdy nagle gość oświadczył z bardzo znaczącą miną, że ma zamiar pomówić z nim w pewnej nader ważnej sprawie.

– W takim razie niech mi pan pozwoli poprosić go do mego gabinetu – powiedział Maniłow i zaprowadził Cziczikowa do małego pokoju, zwróconego oknem na niebieszczyzącą się las.

– Oto mój kącik! – powiedział Maniłow.

– Miły pokoik – rzekł Cziczikow obrzuciwszy pokoik spojrzeniem. Był on istotnie nie pozbawiony wdzięku: ściany były pomalowane jakąś niebiesciutką farbą, zbliżoną do szarawej; cztery krzesła, jeden fotel, stół, na którym leżała książka założona zakładką, o której mieliśmy już sposobność wspomnieć; kilka zapisanych arkuszy papieru, ale najwięcej było tytoniu. Był on różnych rodzajów: w paczkach i w kapciuchu, a wreszcie usypany wprost na stole w kupkę. Na obu oknach również były kupki wysypanego z fajki popiołu, rozmieszczone nie bez starania w bardzo ładne rządkie. Widać było, że to niekiedy pozwalało gospodarzowi zabijać czas.

– Pan pozwoli, że go poproszę o zajęcie tego fotela – powiedział Maniłow. – Tu będzie panu wygodniej.

– Pozwoli pan, że usiądę na krześle.

– Pozwoli pan, że mu na to nie pozwolę – powiedział Maniłow z uśmiechem. – Ten fotel jest już u mnie przeznaczony dla gościa; rad nierad, ale musi pan na nim usiąść.

Cziczikow usiadł.

– Pozwoli pan, że go poczęstuję fajeczką.

– Nie, nie palę – odpowiedział Cziczikow grzecznie i jakby z wyrazem żalu.

– Dlaczego? – powiedział Maniłow również grzecznie i z wyrazem żalu.

– Nie nabrałem przyzwyczajenia; obawiam się, powiadają, że fajka wysusza.

– Niech mi pan pozwoli zauważyć, że to przesąd. Uważam nawet, że palić fajkę jest o wiele zdrowsze niż zażywać tabakę. W naszym pułku był porucznik, dobry i wykształcony człowiek, który nie wyjmował fajki z ust nie tylko przy stole, ale nawet, za pozwoleniem, we wszystkich innych miejscach. I oto ma już teraz przeszło czterdzieści lat, ale dzięki Bogu jest jak najzdrowszy.

Cziczikow zauważył, że to się istotnie zdarza i że w naturze jest wiele rzeczy niepojętych, nawet dla światłego umysłu.

– Ale niech mi pan pozwoli przede wszystkim zwrócić się z pewną prośbą... – przemówił głosem, w którym zabrzmiała jakaś szczególna nuta, i zaraz potem, nie wiadomo dlaczego, obejrzał się za siebie. Maniłow również, nie wiadomo dlaczego, obejrzał się za siebie.

– Jak dawno był pan łaskaw złożyć spis rewizyjny?

– Dostyc dawno. A właściwie mówiąc – nie przypominam sobie.

– Ilu od tego czasu umarło, u pana chłopów?

– Nie mam pojęcia, o to, sędzę, trzeba zapytać ekonoma. Hej, służba, zawołać ekonoma, on powinien dzisiaj być tutaj.

Zjawił się ekonom. Był to człowiek pod czterdziestkę, który golił brodę, chodził w surducie i wiódł widocznie spokojne życie, bo twarz miał pełną i jakby obrzmiałą, a żółtawy kolor skóry i małe oczki świadczyły, iż wiedział aż nazbyt dobrze, co to takiego puchowe poduszki i pierzyny. Można było zaraz spostrzec, że ustalił swój byt tak, jak go ustalają wszyscy pańscy podwładni: był z początku po prostu umiającym czytać chłopcem w domu, potem ożenił się z jakąś klucznicą Agatką, faworytką pani, sam został klucznikiem, a potem i ekonomem. A kiedy został ekonomem, postępował tak, jak postępują wszyscy ekonomowie; zadawał się i kumał z tymi, którzy we wsi byli bogatsi, a biedniejszym dodawał robocizny; budząc się o dziewiątej z rana, czekał na samowar, po czym pił herbatę.

– Słuchaj no, kochanku, ilu u nas chłopów umarło od czasu; kiedy była złożona rewizja?

– Niby ilu? Dużo umarło od tego czasu – powiedział ekonom i przy tym czknął zasłoniwszy z lekka usta ręką jak puklerzem.

– Tak, przyznam się, że sam tak myślałem – podchwycił Maniłow – istotnie bardzo wielu poumieralo! – Tu zwrócił się do Cziczikowa i dodał jeszcze: – Rzeczywiście, bardzo wielu.

– A ilu na przykład liczbowo? – zapytał Cziczikow.

– Tak, ilu liczbowo? – podchwycił Maniłow.

– Jakby to powiedzieć? Przecie nie wiadomo, ilu umarło, nikt ich nie rachował.

– Tak, istotnie – powiedział Maniłow zwracając się do Cziczikowa – ja też tak sądziłem duża śmiertelność; zupełnie nie wiadomo, ilu umarło.

– Porachuj ich – powiedział Cziczikow – i zrób szczegółowy rejestr wszystkich imiennie.

– Tak, wszystkich imiennie – powiedział Maniłow.

Ekonom rzekł: – Słucham pana! – i wyszedł.

– A z jakiego powodu jest to panu potrzebne? – zapytał Maniłow po wyjściu ekonoma.

To pytanie, zda się, zakłopotало gościa, na jego twarzy ukazał się wyraz jakiegoś naprężenia, skutkiem którego aż się zaczerwienił – naprężenia, zdającego się wskazywać, że pragnie wyrazić coś, co się niezupełnie dawało ująć w słowa. I naprawdę, Maniłow usłyszał wreszcie tak dziwne i niezwykle rzeczy, jakich nigdy uszy ludzkie nie słyszały.

– Pyta pan, z jakiego powodu? Powody są takie: chciałbym kupić chłopów... – powiedział Cziczikow, zająknął się i nie dokończył.

– Ale pozwoli pan zapytać – rzekł Maniłow – jak pan chce kupić chłopów, z ziemią czy po prostu na przesiedlenie, to znaczy bez ziemi?

– Nie, ja właściwie niezupełnie chcę chłopów – powiedział Cziczikow – ja bym chciał mieć martwych.

– Co? Przepraszam... mam słuch nieco przytępiony, usłyszałem coś bardzo dziwnego...

– Pragnę kupić martwych, którzy zresztą liczyliby się według rewizji za żywych – odparł Cziczikow.

Maniłow w tej samej chwili upuścił na podłogę fajkę z cybuchem i jak otworzył usta, tak już został z otwartymi ustami przez kilka chwil. Obaj przyjaciele, rozmawiający o miłych stronach życia przyjacielskiego, znieruchomieli utkwivszy w sobie spojrzenie, jak te portrety, które niegdyś wieszano jeden naprzeciw drugiego, po obu stronach lustra. W końcu Maniłow podniósł fajkę z cybuchem i spojrzał z dołu na twarz Cziczikowa, starając się dostrzec, czy nie widać na jego wargach uśmiechu, czy sobie nie zażartował; ale nic takiego nie było widać; przeciwnie, twarz Cziczikowa wydawała się nawet poważniejsza niż zazwyczaj; potem pomyślał, czy gość jakoś niespodzianie nie dostał bzika, i ze strachem, badawczo popatrzył na niego; ale oczy gościa były zupełnie jasne; nie było w nich dzikiego, niespokojnego ognia, jaki biega w oczach człowieka obłąkanego; wszystko było przyzwoicie i w porządku. Chociaż Maniłow myślał na wszelkie sposoby, jak się ma znaleźć i co ma robić, ale nic innego nie mógł wymyślić prócz tego, żeby wypuścić pozostały w ustach dym bardzo wąskim strumieniem.

– A więc pragnąłbym wiedzieć, czy pan może mi takich nieżywych w rzeczywistości, lecz żywych według formuły prawnej, przekazać, odstąpić, czy też jak pan sobie inaczej będzie życzył.

Lecz Maniłow tak się zawstydził i zmieszał, że tylko spoglądał na niego.

– Zdaje mi się, że pan ma jakieś wątpliwości – zauważył Cziczikow.

– Ja?... nie, to nie to – powiedział Maniłow – ale nie mogę dociec... niech pan wybaczy... ja naturalnie nie mogłem otrzymać tak świetnego wykształcenia, jakie, że tak powiem, widać w każdym pańskim ruchu; nie posiadam wysokiego kunsztu wysławiania się... Być może, iż tu... w tym, co pan przed chwilą mówił... kryje się coś innego... Być może, iż pan raczył się tak wyrazić ot tak, dla pięknego stylu?

– Nie – podchwycił Cziczikow – nie, rozumiem rzecz tak, jak ona się przedstawia, to znaczy te dusze, które w rzeczywistości już umarły.

Maniłow całkiem się stropił. Czuł, że powinien coś zrobić, zadać jakieś pytanie, ale jakie – diabli je wiedzą! Poprzestał w końcu na tym, że znowu wypuścił dym, tylko już nie ustami, lecz przez dziurki w nosie.

– A więc, jeżeli nie ma przeszkód, możemy z Bogiem przystąpić do sporządzenia aktu kupna – powiedział Cziczikow.

– Jak to, aktu kupna martwych dusz?

– O nie! – powiedział Cziczikow. – Napiszemy, że są żywe, tak jak istotnie o tym świadczy spis rewizyjny. Mam zwyczaj nie odstępować w niczym od praw obowiązujących, chociaż ucierpiałem z tego powodu na służbie, ale już niech pan wybaczy: obowiązek – to dla mnie święta rzecz, prawo – jestem z całym szacunkiem wobec prawa.

Ostatnie słowa spodobały się Maniłowowi, jednak w istotę rzeczy w żaden sposób nie mógł wniknąć i zamiast odpowiedzieć, jął ssać swój cybuch tak mocno, że ten zaczął w końcu chrapać jak fagot. Zdawało się, że chce wyciągnąć z niego sąd o tak niesłychanej sprawie, ale cybuch chrapał – i nic więcej.

– Może pan ma jakieś wątpliwości?

– O nie, bynajmniej! Mówię nie dlatego, żebym miał jakieś, że tak powiem, krzywdzące mniemanie o panu. Ale niech mi pan pozwoli zauważyć, czy to przedsięwzięcie albo lepiej, że tak powiem, że się tak wyrażę, ta negocjacja – otóż ta negocjacja nie będzie stała w sprzeczności z ustawami obywatelskimi i planami Rosji na przyszłość?

Tu Maniłow, wykonawszy pewien ruch głową, popatrzył bardzo znacząco w twarz Cziczikowa okazując we wszystkich rysach swej twarzy i w zaciśniętych ustach rak głęboki wyraz, jakiego, być może, nikt nie widział na ludzkiej twarzy, chyba tylko u jakiegoś przemądrzałego ministra i to w chwili rozstrzygnięcia najbardziej zawikłanej sprawy.

Lecz Cziczikow powiedział po prostu, że podobne przedsięwzięcie czy też negocjacja bynajmniej nie będzie stała w sprzeczności z ustawami i planami Rosji na przyszłość, a po chwili dodał, że skarb nawet skorzysta na tym, ponieważ otrzyma prawnie przepisane opłaty.

– Tak pan sądzi?

– Sądzę, że to będzie pożyteczne.

– A, jeżeli pożyteczne, to inna rzecz: nie mam nic przeciwko temu – powiedział Maniłow i zupełnie się uspokoił.

– Teraz pozostaje tylko umówić się o cenę...

– Jak to o cenę? – powiedział znowu Maniłow i urwał. – Czyżby pan sądził, że ja będę brał pieniądze za dusze, które niejako zakończyły swą egzystencję? Jeżeli już ma pan takie, że tak powiem, fantastyczne życzenie, to ja ze swej strony oddaję je panu bezinteresownie i biorę na siebie załatwienie transakcji.

Byłoby dużą winą historyka niniejszych zdarzeń, gdyby nie powiedział, że po słowach wygłoszonych przez Maniłowa gościem ośladnęło zadowolenie. Chociaż był bardzo stateczny i rozsądny, ale tu omal że nie fiknął kozła, co, jak wiadomo, czyni się tylko w największych porywach radości. Tak gwałtownie obrócił się na fotelu, że pękł wełniany materiał pokrywający poduszkę; Maniłow popatrzył na niego trochę zdumiony. Pobudzony wdzięcznością, gość wygłosił natychmiast tyle podziękowań, że tamten zmieszał się, poczerwieniał, pokręcił przecząco głową i w końcu wyraził się, że to naprawdę drobiazg, że on istotnie chciałby okazać mu w jakiś sposób skłonność serca, magnetyzm duszy, a dusze zmarłe to w pewnym sensie – zupełne śmiecie.

– Wcale nie śmiecie – powiedział Cziczikow, ściskając mu rękę. Tu zostało wydane bardzo głębokie westchnienie. Zdawało się, że był usposobiony do serdecznych wynurzeń, nie bez uczucia i wzruszenia wygłosił wreszcie następujące słowa: – Gdyby pan wiedział, jaką pan usługę oddał tymi na pozór śmieciami człowiekowi bez rodziny i bez urodzenia! Bo doprawdy, czegoż nie wycierpiałem? Niczym jakaś barka pośród srogich fal... Jakich prześladowań, jakich utrapień nie doświadczyłem, jakiegom nieszczęścia nie zaznał! A za co? Za to, że broniłem prawdy, że miałem czyste sumienie, że podawałem rękę i słabej wdowie, i nieszczęsnej sierocie!... – W tym miejscu nawet otarł chusteczką staczającą się łzę.

Maniłow był zupełnie rozczulony. Obaj przyjaciele długo ściskali sobie wzajemnie ręce i długo w milczeniu patrzyli sobie w oczy, w których było widać wezbrane łzy. Maniłow w żaden sposób nie chciał wypuścić ręki naszego bohatera i w dalszym ciągu ściskał ją tak gorąco, że Cziczikow nie wiedział już, jak ją wydostać. W końcu wysunawszy rękę ukradkiem, powiedział, że warto by jak najprędzej spisać akt kupna i dobrze by było, gdyby on sam zajrzał do miasta. Potem wziął kapelusz i zaczął się żegnać.

– Co? Pan chce już odjechać? – powiedział Maniłow ocknąwszy się nagle i niemal z przestrawem.

W tej chwili weszła do gabinetu Maniłowa.

– Lizeczko – powiedział Maniłow z nieco żalną ramą – Paweł Iwanowicz nas opuszcza!

– Bośmy się naprzykrzyli Pawłowi Iwanowiczowi – odpowiedziała Maniłowa.

– Pani! Tutaj – powiedział Cziczikow – o, tutaj – tu położył rękę na sercu – tak, tutaj pozostanie wspomnienie miłych chwil, które spędziłem z państwem! I niech mi pani wierzy, nie byłoby dla mnie większej rozkoszy, niż mieszkać razem z państwem, jeśli nie w jednym domu, to chociaż w najbliższym sąsiedztwie.

– A wie pan co, Pawle Iwanowiczu – powiedział Maniłow, któremu bardzo się spodobała ta myśl – w samej rzeczy, jakby to było dobrze, gdyby tak razem, pod jednym dachem albo w cieniu jakiegoś wiązu pofilozofować nad czymś, zagłębić się w rozmyślaniach!...

– O, to byłoby rajskie życie! – powiedział Cziczikow wzdychając. – Żegnaj panią! – rzekł podchodząc, by ucałować rączkę Maniłowej. – Żegnaj, szanowny przyjacielu! Niech pan nie zapomni o mojej prośbie.

– O, niech pan będzie przekonany! – odpowiedział Maniłow. – Rozstaję się z panem nie na dłużej niż na dwa dni.

Wszyscy przeszli do stołowego.

– Żegnajcie, miłe dzieciątka! – powiedział Cziczikow zobaczywszy Alcydesa i Temistoklusa, zajętych jakimś drewnianym huzarem, który już nie miał ani ręki, ani nosa. – Żegnajcie, moje maleństwa. Przebaczenie mi, że nie przywożem wam podarunku, bo, przyznam się, nie wiedziałem nawet o waszym istnieniu, ale teraz, jak przyjadę, na pewno przywożę. Tobie przywożę szablę. Chcesz szablę?

– Chcę – odpowiedział Temistoklus.

– A tobie bęben. Prawda, tobie bęben? – ciągnął Cziczikow, nachylając się do Alcydesa.

– Peppen – odpowiedział Alcydes szeptem i ze spuszczoną głową.

– Dobrze, przywożę ci bęben, taki wspaniały bęben! Wciąż będzie turrr... ru... tra ta ta, ta ta ta... Żegnaj, kochanie! Żegnaj! – Tu pocałował go w głowę i zwrócił się do Maniłowa i jego małżonki z uśmiechem, z jakim zwykle zwracają się wszyscy do rodziców, dając im znać o niewinności pragnień ich dzieci.

– Doprawdy, Pawle Iwanowiczu, niech pan zostanie! – powiedział Maniłow, kiedy już wszyscy wyszli na ganek. – Niech pan patrzy, jakie chmury.

– To małe chmurki – odpowiedział Cziczikow.

– A czy pan zna drogę do Sobakiewicza?

– O to właśnie chcę pana zapytać.

– Bardzo proszę, zaraz powiem pańskiemu stangretowi. – Tu Maniłow z taką samą uprzejmością wyłożył sprawę stangretowi i raz nawet powiedział mu „wy”.

Stangret usłyszawszy, że trzeba minąć dwa zakręty i skrócić na trzecim, powiedział: – Trafi się, proszę wielmożnego pana. – I Cziczikow odjechał odprowadzany długo ukłonami i machaniem chusteczek gospodarzy wspinających się na palce.

Maniłow długo stał na ganku, odprowadzając oczami oddalającą się bryczkę, i gdy ta już zupełnie zniknęła z oczu, wciąż jeszcze stał paląc fajkę. W końcu wszedł do pokoju, usiadł na krześle i oddał się rozmyślaniu, ciesząc się w głębi duszy, że sprawił swemu gościowi przyjemność. Potem myśli jego niepostrzeżenie przeniosły się na inne przedmioty i w końcu uleciały Bóg wie dokąd. Myślał o szczęściu życia przyjacielskiego, o tym, jakby to dobrze było żyć z przyjacielem nad brzegiem jakiejś rzeki, potem zaczął budować most przez tę rzekę, potem ogromny dom z takim wysokim belwederem, że można stamtąd nawet Moskwę widzieć i pić tam wieczorem herbatę na otwartym powietrzu, i dyskutować na jakieś miłe tematy, potem, że razem z Cziczikowem w pięknych karetach przyjechali do jakiegoś towarzystwa, gdzie czarują wszystkich miłym obejściem, i że jakoby cesarz dowiedziawszy się o takiej przyjaźni mianował ich generałami, i dalej w końcu Bóg wie co, w czym nawet on sam w żaden sposób nie mógł się połapać. Dziwna prośba Cziczikowa przerwała nagle wszystkie jego marzenia. Myśl o niej jakoś szczególnie nie układała mu się w głowie; z którejkolwiek strony ją rozpatrywał, w żaden sposób nie mógł jej sobie wyjaśnić i wciąż siedział paląc fajkę, co przeciągnęło się aż do kolacji.

ROZDZIAŁ III

A Cziczikow w pogodnym usposobieniu siedział w bryczce, od dawna już toczącej się po trakcie. Z rozdziału poprzedniego wiadome jest, co stanowiło główny przedmiot jego gustu i upodobań, toteż nic dziwnego, że wkrótce pograżył się w nim duszą i ciałem. Przypuszczenia, rachuby i kombinacje odbijające się na jego twarzy były widocznie bardzo przyjemne, ponieważ co chwila pozostawiały po sobie ślady uśmiechu zadowolenia. Zajęty nimi, nie zwracał zupełnie uwagi na to, że jego stangret, zadowolony z przyjęcia u służby dworskiej Maniłowa, robił bardzo rzeczowe uwagi tarantowatemu koniowi przyprzężonemu z prawej strony. Ów tarantowaty był nader przebiegły i udawał tylko, że ciągnie, podczas gdy dyszlowy gniady i przyprzęgowy bułany, zwany Asesorem, ponieważ był kupiony od jakiegoś asesora, pracowały z całego serca, tak że nawet w ich oczach widać było osiągnięte stąd zadowolenie. – Chytryś ty, ale ja cię przechytrzę! – mówił Selifan podnosząc się i zacinając batem wałkonia. – Znaj swój obowiązek, ty niemiecka pokrako! Gniady – to porządny koń, robi, co powinien; rad mu dodam miarkę, bo to porządny koń; i Asesor – też dobry koń... No! czego tam uszami strzyżesz? Słuchaj, durniu, kiedy się do ciebie mówi! Ja ciebie, cymbale jeden, złego nie nauczę! Patrzcie go, gdzie lezie! – Tu znowu zaciął go batem i powiedział: – A, ty barbarzyńco, Bonaparcie przeklęty!... – Potem krzyknął na wszystkie: – Hej, wy, kochane! – i śmignął batem po wszystkich trzech, już nie za karę, ale żeby okazać, że jest z nich zadowolony. Zrobiwszy im tę przyjemność, ponownie zwrócił się do tarantowatego: – Myślisz, że ukryjesz swoje sprawowanie. Nie, żyj uczciwie, kiedy chcesz, żeby cię szanowano. Ot, u tego pana, gdzieśmy byli, to dobrzy ludzie. Zawszem rad pogadać, jeśli z dobrym człowiekiem; z dobrym człowiekiem tośmy zawsze swoi ludzie, bliscy przyjaciele; czy to wypić szklanekę herbaty, czy zakąsić – z chęcią, jeśli dobry człowiek. Dobremu człowiekowi każdy odda uszanowanie. Ot, choćby naszego pana każdy szanuje, bo on, uważaj no, byt na rządowej służbie i jest radcą kolegiąlnym...

Snując te rozważania Selifan zabrnął wreszcie w najdalsze abstrakcje. Gdyby Cziczikow posłuchał, dowiedziałby się mnóstwa szczegółów dotyczących go osobiście; lecz jego myśli tak były zajęte swym przedmiotem, że dopiero silne uderzenie pioruna zmusiło go do ocknięcia się i obejrzenia wkoło: niebo było całkowicie zasnuwane chmurami, a zakurzony trakt zroszony kroplami dżdżu. Wreszcie grzmot rozległ się po raz drugi, głośniejszy i bliżej, i deszcz lunął jak z cebra. Przybrawszy z początku kierunek ukośny, zaciął z jednej strony w budę bryczki, potem z drugiej; potem, zmieniając system ataku i stając się zupełnie prostopadłym, bębnił wprost z góry. Krople zaczęły wreszcie dosięgać twarzy Cziczikowa. To zmusiło go do zaciągnięcia skórzanych firanek z dwoma okrągłymi okienkami służącymi do oglądania widoków oraz do wydawania Selifanowi rozporządzeń, by jechał prędzej. Selifan, któremu przerwano w połowie jego orację, zmiarkował, iż rzeczywiście nie można marudzić, wyciągnął spod kozła jakiś lach z szarego sukna, nadział go na rękawy, chwycił lejce i krzyknął na swą trójkę, która ledwo – ledwo wlokła się noga za nogą, albowiem odczuwała przyjemne rozleniwienie po pouczających przemówieniach. Ale Selifan nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, czy przejechał dwa, czy trzy zakręty. Zebrawszy myśli i przypominając sobie cokolwiek drogę, zmiarkował, że było już wiele zakrętów, które przepuścił. Ponieważ w chwilach decydujących Rosjanin zawsze umie się znaleźć nie wdając się w dalsze rozważania, więc Selifan, skręciwszy na prawo na pierwszym skrzyżowaniu dróg, zawołał: – Hej, wy, przyjaciele szanowni! – i popędził galopem, niewiele myśląc, dokąd doprowadzi obrona droga.

Deszcz jednak, najwidoczniej, zaczął lać na dobre. Kurz leżący na drodze wkrótce zamienił się w błoto i koniom coraz ciężiej było ciągnąć bryczkę. Cziczikow nie widząc tak długo wsi Sobakiewicza zaczął się mocno niepokoić. Według jego obliczeń już dawno powinni byli być na miejscu. Rozglądał się na boki, lecz panowała taka ciemność, że choć oko wykol.

– Selifan! – zawołał wreszcie, wychylając się z bryczki.

– Co, proszę wielmożnego pana? – odrzekł Selifan.

– Zobacz no, czy wsi nie widać?

– Nie, proszę wielmożnego pana, nigdzie nie widać! – Po czym Selifan machając batem rozpoczął pieśń nie pieśń, coś, co nie miało końca. Wszystko tam się mieściło: wszystkie zachęcające i dodające otuchy okrzyki, którymi się obdarza konie w całej Rosji, z jednego krańca po drugi, przymiotniki wszelkich rodzajów, bez wyboru, co tylko ślina na język przyniosła. Doszło w ten sposób do tego, że zaczął w końcu nazywać konie sekretarzami.

Tymczasem Cziczikow zauważył, że bryczka chwieje się na wszystkie strony i obdarza go arcymocnymi wstrząśnieniami; z tego wywnioskował, że zjechali z drogi i prawdopodobnie wlekli się zabronowanym polem. Selifan, zdaje się, sam to zmiarkował, lecz nie rzekł ani słowa.

– Jaką drogą jedziesz, łajdaku? – powiedział Cziczikow.

– Cóż robić, proszę wielmożnego pana, taka już pora; bata nie widać, taka ciemnica! – Mówiąc to, tak przechylił bryczkę, że Cziczikow zmuszony był przytrzymać się obiema rękami. Wtedy dopiero zauważył, że Selifan podchmielił sobie.

– Trzymaj, trzymaj, wywróciśz! – krzyknął.

– Nie, proszę wielmożnego pana, jakże to można, żebym wywrócił – mówił Selifan. – Wywracać to bardzo nieładnie, już ja wiem o tym; już ja nijak nie wywrócę. – Po czym jął z lekka zawracać bryczką, zawracał, zawracał, aż wreszcie wywrócił ją całkiem na bok. Cziczikow klapnął w błoto rękami i nogami. Selifan zdołał jednakowoż zatrzymać konie; zresztą zatrzymałyby się i same, bo były bardzo zmęczone. Ten nieprzewidziany wypadek niezmiernie go zdumiał. Zląszy z kozła stanął przed bryczką, podparł się rękami pod boki, podczas gdy pan babrał się w błocie usiłując stamtąd wyleźć, i rzekł po pewnym namyśle:

– Widzicie ją, wywróciła się!

– Jesteś pijany jak szewc! – rzekł Cziczikow.

– Nie, proszę wielmożnego pana, jakże to można, żebym ja był pijany. Ja wiem, że to nieładnie upijać się. Pogadałem z przyjacielem, bo z porządnym człowiekiem zawsze można pogadać, w tym nie ma nic złego; no i razem przekąśliśmy. Przekąska to nic złego, z porządnym człowiekiem zawsze można przekąsić.

– A co ja ci mówiłem, kiedyś się spił ostatnim razem? Zapomniałeś, hę? – rzekł Cziczikow.

– Nie, proszę wielmożnego pana, jakże to można, żebym zapomniał. Wiem, co do mnie należy. Wiem, że nieładnie jest być pijanym. Pogadałem z porządnym człowiekiem, dlatego że...

– Jak cię oćwiczę, to będziesz wiedział, jak mówić z porządnym człowiekiem.

– Jak się podoba waszej miłości – odrzekł na wszystko zgodny Selifan – jak oćwiczyć, to oćwiczyć, ja się nie przeciwuję. Dlaczego by nie oćwiczyć, jeśli jest za co? Od tego pańska wola. Czasem trzeba nawet oćwiczyć, dlatego że chłop się rozpuścił; porządku trzeba pilnować. Jeśli masz za co, oćwicz, dlaczego by nie oćwiczyć?

Na te rozważania pan już zupełnie nie znalazł odpowiedzi. Lecz wówczas, zda się, sam los postanowił się nad nim zlitować. Z daleka dało się słyszeć szczekanie psów. Uradowany Cziczikow kazał popędzać konie. Woźnica rosyjski miewa dobry węch zamiast oczu; dlatego to zdarza się, że zmrzywszy oczy pędzi niekiedy co tchu i zawsze gdzieś trafia. Selifan nie widząc w ciemnościach nawet własnego nosa skierował konie tak prosto na wieś, że zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy bryczka uderzyła hołoblami o parkan i doprawdy nie było gdzie dalej jechać. Cziczikow zauważył tylko przez gęstą zasłonę lejącego deszczu coś podobnego do dachu. Posłał Selifana, by poszukał bramy, co niewątpliwie trwałoby bardzo długo, gdyby w Rosji zamiast szwajcarów nie było dzielnych psów, które zaanonsowały go tak donośnie, iż musiał rękami zatkać uszy. W jednym z

okienek mignęło światło i dosięgło mętną smugą parkanu, ukazując naszym podróżnym bramę. Selifan zaczął stukać i wkrótce, otworzywszy furtkę, wysunęła się jakaś postać okryta wełniakiem i pan wraz ze sługą usłyszeli ochryply głos kobiety:

– Kto stuka? Co tam za hałasy?

– Przyjezdni, mateczko, pozwól przenocować – wyrzekł Cziczikow.

– Patrzcie go, jaki prędko – rzekła stara – przyjeżdża o takiej porze! Tu nie dom zajezdny, tu mieszka dziedziczka.

– Cóż począć, mateczko? Zbłądziliśmy, widzicie. Nie będziemy przecież nocowali w taki czas na polu.

– Tak, nieładny czas, ciemny – dodał Selifan.

– Milcz, durniu! – rzekł Cziczikow.

– A coście za jedni? – zapytała stara.

– Szlachcic, mateczko.

Słowo „szlachcic” jak gdyby skłoniło starą do namysłu.

– Poczekajcie, powiem pani – i po dwóch minutach wróciła z latarnią w rękę.

Brama się otworzyła. Światelko zamigotało w innym jeszcze oknie. Wjechawszy na podwórze bryczka zatrzymała się przed niedużym domkiem, który trudno było dostrzec z powodu ciemności. Tylko jedna jego połowa była oświetlona; widać było jeszcze kałużę przed domem, na którą padało światło z okien. Deszcz dudnił głośno po drewnianym dachu i szemrzącymi strumieniami spływał do podstawionej beczki. Tymczasem psy aż się zanosily od szczekania na wszystkie możliwe tony: jeden, podniósłszy łeb do góry, zawodził tak przeciągle i z taką gorliwością, jak gdyby otrzymywał za to Bóg wie jaką pensję, inny odszczekiwał naprędce niby ministrant; pomiędzy nimi dzwonił, niby dzwonek pocztowy, niezmordowany dyszkant, prawdopodobnie młodego szczeniaka, a wszystko to zamykał wreszcie bas, być może, psa sędziwego albo też obdarzonego wybitną psią naturą, dlatego że chrypiał, jak chrypi bas na chórze, gdy koncert jest w całej pełni: tenory podnoszą się na palcach, pragnąc usilnie wydobyć wysoki ton, i wszystko, co żyje, wspina się do góry, wyciągając głowy, a on jeden wsunawszy w kołnierzyk nie ogolony podbródek, przysiadłszy niemal do samej ziemi, wydaje stamtąd swój ton, od którego szyby się trzęsą i brzęczą. Sądząc z psiego koncertu, złożonego z takich muzykantów, można było przypuścić, iż wioska jest wcale pokaźna; lecz zmoknięty i zziębnięty bohater nasz nie myślał o niczym prócz łóżka. Jeszcze bryczka nie zdołała się zupełnie zatrzymać, gdy już zeskoczył na ganek, zatoczył się i omal nie upadł. Na ganek wyszła znowu jakaś kobieta, młodsza od poprzedniej, lecz bardzo do niej podobna. Zaprowadziła go do pokoju. Cziczikow przelotnie rzucił parę spojrzeń. Pokój był wyklejony bardzo starymi tapetami w paski; na obrazach jakieś ptaki; pomiędzy oknami stare, małe lustra z ciemnymi ramkami w kształcie zwiniętych liści, a za każdym lustrem założony był albo list, albo stara talia kart lub też pończocha; zegar ścienny z kwiatami namalowanymi na cyferblacie... więcej nie można było zauważyć. Czuł, że oczy mu się kleją, jak gdyby je kto posmarował miodem. Po chwili weszła gospodyni, kobieta leciwa, w jakimś nocnym czepku nałożonym naprędce, z flanelą na szyi, jedna z tych niebogatych dziedziczek ziemskich, które popłakują z powodu nieurodzajów, strat, głowę mają przekreconą nieco na bok, a jednocześnie ciułają po trochu pieniążki w płóciennych woreczkach rozmieszczonych po szufladach komody. Do jednego woreczka składają całe ruble, do drugiego półrublówki, do innego dwudziestopięciokopiejkówki, chociaż z pozoru wydać by się mogło, że w komodzie nie ma nic oprócz bielizny, nocnych kaftaników, motków nici oraz rozprutej salopy mającej kiedyś przeobrazić się w suknię, gdy w starej w jakiś sposób wypali się dziura podczas pieczenia placków świątecznych i różnych pasztecików lub też zniszczy się sama przez się. Lecz suknia się nie wypali i nie zniszczy sama przez się; staruszka jest oszczędna, a salopie sążone długie jeszcze leżenie w stanie rozprutym, by potem wraz z różnymi innymi rupieciami dostać się w testamencie synowicy babecznej siostry. Cziczikow przeprosił za zakłócenie spokoju nieoczekiwanym przyjazdem.

– Nic, nic – rzekła gospodyni. – W jaki to czas Bóg pana przyniósł! Taka wichura i ulewa... Warto by coś zjeść z drogi, ale cóż, noc, nic nie można przyszykować.

Słowa gospodyni zostały przerwane dziwnym sykiem, tak iż gość przestraszył się nawet, zasyczało, jak gdyby cały pokój zapęłnił się węzami, lecz spojrzawszy w górę gość uspokoił się, zrozumiał, że to zegar ścienny nabrał ochoty do bicia. Po syku nastąpiło chrypienie i wreszcie zegar wyteżywszy wszystkie siły wybił drugą takim dźwiękiem, jak gdyby ktoś walił kijem w rozbitą garnkę, po czym wahadło jęło znowu spokojnie stukać na prawo i na lewo.

Cziczikow podziękował gospodyni mówiąc, iż mu nic nie potrzeba, żeby nie robiła sobie subiekcji, że prócz łóżka nie żąda niczego, chciałby się tylko dowiedzieć, w jakie okolice przyjechał i czy daleko stąd do obywatela ziemskiego Sobakiewicza, na co stara odrzekła, że nawet nie słyszała nigdy takiego nazwiska i że takiego obywatela ziemskiego wcale nie ma.

– Zna pani przynajmniej Maniłowa? – rzekł Cziczikow.

– Kto to taki ten Maniłow?

– Obywatel ziemski.

– Nie, nie słyszałam, nie ma takiego.

– Jacyż więc są?

– Bobrów, Swinin, Kanapatiew, Charapkin, Triepakin, Pleszakow.

– Czy to bogaci ludzie, czy nie?

– Nie, ojczulku, zbyt bogatych tu nie ma. U jednego dwadzieścia, u drugiego trzydzieści dusz, a takich, żeby po sto, to nie ma.

Cziczikow zauważył, że zajechał w niezgorsze odludzie.

– Czy niedaleko przynajmniej do miasta?

– Będzie ze sześćdziesiąt wiorst. Jaka szkoda, że nie mam pana czym nakarmić. Może herbaty by się pan napił?

– Dziękuję. Nic mi nie trzeba prócz posłania.

– Prawda, po takiej drodze trzeba odpocząć. Tutaj niech się pan położy, na tej kanapie. Hej, Fietinia, przynieś pierzynę, prześcieradło i poduszki. Jaką to Pan Bóg dał pogodę: grzmoty takie, że u mnie przez całą noc gromnica paliła się przed obrazem. Ech, ojciec kochany, pan ma całe plecy i bok ubłocone jak wieprz! Gdzie to pan się tak raczył uwaląć?

– Chwała Bogu, że się tylko uwaląłem, dobrze jeszcze, że nie żeber nie połamał.

– Święci patronowie, co za wypadek! Czy nie trzeba panu wysmarować pleców?

– Dzięki, dzięki. Niech się pani nie kłopotuje, tylko każe dziewczynie wysuszyć i wyczyścić moje ubranie.

– Słyszysz, Fietinia! – rzekła gospodyni zwracając się do kobiety, która wychodziła na ganek ze świecą, a teraz zdążyła już przynieść pierzynę i uderzając ją z obu stron rękami, wypuściła potop pierza na cały pokój. – Weź pańskie ubranie razem z tym, co pod spodem, i najpierw wysusz przed ogniem, jak to robiło się dla nieboszczyka pana, a potem przepierz i oczyść dokładnie.

– Słucham panią – mówiła Fietinia rozścielając na pierzynie prześcieradło i kładąc poduszki.

– No, posłanie gotowe – rzekła gospodyni. – Żegnajcie, dobrodzieju, życzę dobrej nocy. Czy nie trzeba jeszcze czego? Może pan przywykł, żeby go na noc ktoś w pięty drapał? Nieboszczyk mój bez tego w żaden sposób nie mógł usnąć.

Lecz gość i za drapanie w pięty podziękował. Gospodyni wyszła; natychmiast spieszenie się rozebrawszy oddał Fietini całą zdjętą z siebie garderobę, tak zwierzchnią jak i spodnią, a Fietinia życząc mu także ze swej strony dobrej nocy zabrała ów mokry przyodziewek. Pozostawszy sam, nie bez zadowolenia spojrzął na swoje posłanie, które wznosiło się niemal do sufitu. Fietinia była widocznie specjalistką od wstrząsania pierzyn. Gdy przysunawszy krzesło dostał się do pościeli, ta opuściła się pod nim niemal do podłogi, a pierze, wyciśnięte przezeń, rozleciało się po wszystkich kątach pokoju. Zgasiwszy świecę przykrył się perkalową kołdrą i zwinawszy się pod nią w rogalik usnął w jednej chwili.